№ 16. Warszawa, 22 Kwietnia 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

INTERPELACJA W DUMIE.
Z POWODU ART. 96.

Niezwykle drażliwą interpelację wniosła frakcja socjalno-demokratyczna wraz z grupą pracy na pierwszem posiedzeniu zeszłorocznej jesiennej sesji Dumy. Rzecz się przedstawia, jak następuje:

Wiosną roku zeszłego Duma przy rozważaniu kredytu na ministerjum marynarki poczyniła szereg zastrzeżeń i w rezultacie znakomicie skróciła preliminarze tego ministerjum. Pomijam to, że rząd skorzystał z różnicy zdań pomiędzy Dumą i Radą Państwa i wyasygnował sobie kredyty w wysokości kredytów ostatniego roku. Zuchwałość Dumy nie podobała się „sferom", nieprzywykłym do opozycji jakiejkolwiek, wychodzącej z innego źródła poza pewnem gronem urodzonych przywódzców państwa. Stary absolutyzm żyje w tych sferach i oburza się na jakiekolwiek faktyczne przeciw niemu zamachy, zgadzając się jedynie milcząco na formalne ograniczenia władzy. Wydany został reskrypt do premjera, aby Rada Ministrów opracowała sposób stosowania art. 96 Ustaw Zasadniczych.

Artykuł ten brzmi:

„Postanowienia z działów: budowlanego, technicznego i gospodarczego oraz uchwały i regulaminy dla instytucji i urzędników wydziału wojskowego i marynarki wojennej, po rozpoznaniu przez Radę wojenną lub Radę admiralicji przedstawiają się Cesarzowi, jeżeli tylko te postanowienia, uchwały i regulaminy dotyczą właśnie tych wydziałów, nie dotyczą ogólnych praw i nie wywołują nowego wydatku ze skarbu, lub też, jeżeli wywołany przez nie wydatek pokrywa się przewidywanemi oszczędnościami w preliminarzach finasowych odnośnych ministerjów. Jeśli zaś ten nowy wydatek nie może być pokryty przez oszczędności, przedstawienie tych postanowień, uchwał i regulaminów do sankcji monarszej dopusza się jedynie po wyjednaniu w ustanowionej drodze asygnowania odnośnego kredytu."

Zacytowanie całego powyższego długiego artykułu zdawało się nam konieczne dla uplastycznienia myśli, że artykuł ten nie zawiera nic, coby zmniejszało kompetencję prawodawczą Dumy. W granicach obowiązujących praw, wydawanych, jak wiadomo, jedynie po uchwaleniu ich przez oba zgromadzenia prawodawcze, cesarz na zasadzie art. 96 wydaje szereg rozporządzeń.

Tymczasem, na skutek wzmiankowanego reskryptu do premiera, 24 sierpnia r. z. zatwierdzoną została przez cesarza uchwała Rady Ministrów w sprawie stosowania art. 96. Na zasadzie tej uchwały cały szereg spraw dotyczących wojska, marynarki i kozaków, zostaje wyłączony z pod kompetencji izb prawodawczych.

Wobec tego wniesiono interpelację do rządu, dowodząc, że zostały pogwałcone ustawy zasadnicze; że zmienić je można tylko przez uchwalenie ich w Izbach, że przeto żadna uchwała Rady Ministrów zmienić ich nie może.

W uzasadnieniu interpelacji przedstawiciel frakcji s. d. dowodził, że demokracja socjalna nie dba o papierowe konstytucje, że rękojmie konstytucjonalizmu upatruje nie w brzmieniu ustaw, lecz w ustosunkowaniu sił społecznych w państwie. Frakcja jednak wnosi interpelację, licząc na poparcie tych partji w Dumie, które na istniejącą konstytucję się bezustannie powołują, do tej konstytucji wagę przywiązują. Ich to zadaniem było interpelację tę złożyć; ponieważ jednak jej nie złożono, widzi się frakcja s. d. zmuszoną do wyręczania ich i nie wątpi, że, jeśli partje te są szczerze konstytucyjne, to interpelację przyjmą i wyjaśnień od rządu zażądają.

Demokratom socjalnym chodziło przeto nie tyle o wyjaśnienia rządu, od którego „niczego się nie spo-

dziewają", o ile zdemaskowanie tchórzliwości październikowców i ich frazeologji o swym mniemanym konstytucjonaliźmie.

Sprowokowani październikowcy znaleźli się w trudnem położeniu. Negowanie ustaw zasadniczych przez zatwierdzoną uchwałę Rady Ministrów tak było jawne, że na razie innej rady nie było, jak interpelację odesłać do komisji, uznając jej zasadność, a tylko krytykując jej jakoby zbyt ostrą formę i oskarżając jej autorów o szereg nietaktów.

Odesłanie interpelacji do komisji bardzo się niepodobało „sferom." W gazetach powstały pogłoski o ponownem rozpędzeniu zuchwałej i buntowniczej Dumy, o restauracji absolutyzmu, o zniesieniu instytucji Dumy wogóle. Tchórzliwi październikowcy nie utrzymali się w pozycji, zajętej na plenum przy przyjęciu interpelacji. Wywarto na nich nacisk z góry, i komisja Dumy interpelację, jako nieuzasadnioną, odrzuciła. Motywy odrzucenia wprost są śmieszne. Przyznając, że wykonanie przepisów z 24-go sierpnia byłoby pogwałceniem ustaw zasadniczych, tchórzliwa większość komisji uznała jednak, że materjał do interpelacji wówczas dopiero by powstał, gdyby to wykonanie miało miejsce, same zaś przepisy nie są jeszcze pogwałceniem: stanowią raczej wewnętrzną wskazówkę dla poszczególnych instancji rządowych, w jaki sposób mają wyjednywać rozmaite przepisy. Motywacja to wprost śmieszna. Za czyny niezgodne z ustawą odpowiadać ma nie ten, kto wydał rozporządzenie do ich wykonania, lecz ten, kto je wykonał; jakby odnośne rozporządzenie nie było już wykroczeniem.

Inaczej odrzucenia interpelacji komisja motywować nie mogła. Rezolucja komisji weszła po półroczu na obrady Dumy i w ciągu ostatnich 2-ch tygodni w Dumie odbyła się niesłychanie ciekawa dyskusja.

Po nieudolnej obronie stanowiska komisji przez październikowca Szubińskiego przemawiał socjalista Heheczkori, dowodąc, że, jeśli stać na stanowisku referenta komisji, „to rozkaz stracenia kilku ludzi bez sądu, jak to uczynił jeden z wielu satrapów rosyjskich, nie mógłby być przedmiotem interpelacji, gdyż czynów fizycznych w danym wypadku nie było, trzebaby czekać do chwili, kiedyby ów satrapa osobiście tych ludzi uśmiercił."

Zresztą mówca dowodził, że frakcja jego wie, że ustawy zasadnicze nie są niczem innem, jak tylko wyrazem faktycznego stosunku sił, że przeto od tego układu sił zależą, i dziś, wobec szalejącej reakcji, ulegają dowolnej zmianie; nikt się zaś nie krępuje tem, czy zmiana ta jest legalna, czy nie legalna. Socjaliści zaś interpelację tę wnieśli po to, aby ujawnić fałsz rządu, kierującego się jedynie zasadą gwałtu.

Obecny na posiedzeniu Dumy Stołypin na razie nie przemawiał. Zdobył się dopiero na odpowiedź po dniach kilku, gdy został szeregiem przemówień posłów opozycyjnych do odpowiedzi moralnie zmuszony. Z przemówień tych na uwagę zasługują zwłaszcza wywody demokraty socjalnego Pokrowskiego, który, zestawiając stanowisko październikowców w roku zeszłym z ich stanowiskiem wobec rozpatrywanej interpelacji, i ich polityką ogólną, dowodził ich niekonsekwencji, połowiczności, tchórzliwości, twierdząc, że stronnictwo to straciło w okresie rozpatrywanym wiele, straciło wprost głowę.

Energicznie interpelację ze stanowiska prawnego popierał Milukow, który wywołał burzę w izbie, chrzcząc związek narodu rosyjskiego mianem związku morderców i pogromców i domagając się kary na prasę czarnosecinną, która odważyła się zaliczyć Cesarza i następcę tronu do członków związku.

W odpowiedzi opozycji Stołypin nie powiedział nic pozytywnego. O sierpniowym zamachu stanu niemal nie wspomniał; frazeologował tylko krótko o jego legalności, jako o akcie, pochodzącym od Cesarza. Natomiast znalazł sposobność zrobienia wycieczki przeciwko rewolucji i ludziom z nią sympatyzującym. Premjer wystąpił przeciwko narzekaniu na rząd za jego represje, dowodził, że są one wynikiem roznamiętnienia partyjnego, błędnych wniosków, ale i cząstki prawdy. Ta zaś cząstka polega na tem, że w dziedzinie administracji mogą być i bywają błędy i nadużycia, a nawet przekroczenia zakresu władzy, ale rząd tępi te objawy i ma nadzieję, że je wytępi.

Tem powiedzeniem premjer skaptował sobie gotowych zawsze rzucić mu się do nóg październikowców; z ław prawicy i centrum posypały się brawa.

W. MAKOWSKI.

ZBRODNIE, KARY I SĄDY WYJĄTKOWE.

Słynny lubelski bandyta „Zagłoba" — Gutkowski, wydaje wszystkich swoich współtowarzyszy, wszystkich paserów, odkrywa całą szajkę, czyni to z cynizmem i bezczelnością zadziwiającą, a w zeznaniach jego widać zmiany i wahania, chwilami stara się niektórych bronić, to znów obciąża ich bardziej jeszcze.—Sam wyjawia przyczynę, starał się eliminować tych i wtedy, kiedy mu obiecywano za to zapłacić, kiedy obietnicy nie dotrzymano, mszcząc się obciążał gorzej.

Zatem pobudka, motyw czynu pozostał ten sam, miejsce rozboju może zająć szantaż, ale w gruncie nie wyszliśmy z tych samych granic, w których się ta psyche obracała przed tem nim ją zobaczyliśmy w sądzie.

Inaczej z renegatem politycznym, tam już musi naprawdę nastąpić renegacja i zewnętrzna i wewnętrzna.

Zaprawdę, oto człowiek szedł czynić społeczny czyn, tak myślał, lub taki był pozór, tak myśleli jego towarzysze; miłość ideału, świętego słońca przyszłości była tak wielka, że nie wahał się poświęcić dla niej ni jakichś zasad etycznych, ni życia własnego narazić, ni cudzej krwi rozlewać,—tak myślał, lub tak myśleli jego towarzysze. Nie raz i nie dwa, a to są już nie myśli a fakty, stawał pod świszczącemi kulami, nie raz niósł, składał, maszyny piekielne, mogące wybuchnąć, nie rzucał ich i tylko dlatego nie zginął rozerwany przez nie, że uczynił to obok stojący towarzysz, i tego towarzysza trup został na placu. I żył ten człowiek w atmosferze zbrodni wprawdzie, ale zbrodni opromienionej taką światłością marzeń, że w tem świetle zdawało się niknąć wszystko czarne i złe, że w tem słońcu zdawała się duma rozkwitać, jak kwiat, niczemu co jest z ziemi niedostępny.

Oczywiście w życiu było trochę mniej pięknie, ale tak wolno było rozumieć.

I oto naraz ten człowiek uląkł się więzienia, uląkł się tej samej śmierci, której tyle razy zaglądał w oczy, uląkł się może dlatego, że tam śmierć mogła przyjść w walce, w upojeniu, a tu miała przyjść, jak fatalność, bez możności obrony, czy ja wiem dlaczego się uląkł, dość, że popełnił pierwszą słabość, wymienił pierwsze imiona swoich towarzyszów, ludzi, z któremi razem szedł i walczył, żył w niebezpieczeństwie i poczuciu pełnionego czynu. Na miejsce dotychczasowych pobudek jego czynu weszła nowa, dokonała wyłomu, tą nową pobudką był wzgląd czysto osobisty, był strach. I przez ten wyłom już mogą wejść i wejdą do jego dumy nowe pobudki, znów już osobiste, doświadczenie pokaże mu, że renegacja przyniosła osobisty zysk,

Ani jednego rządowego argumentu w obronie gwałcących prawa Dumy przepisów sierpniowych premjer nie dał. Z mowy jego wnioskować było można, że Duma ulec mu musi tak samo, jak minister ulega wpływom poza izbą swą akcję roztaczającym. Zresztą ten mus niewolniczych październikowców wydaje im się zupełnie naturalnym. Charakteryzuje ich znakomicie wypowiedzenie się jednego z nich, że „głosować za odrzuceniem interpelacji—to jeszcze można, bo tak... trzeba, ale bronić tego głosowania... trudno. Co za niewolniczość, co za niemoc zdobycia się na szczery i stanowczy chociażby giest—protestu. I gdzie ta niewolniczość się gnieździ? Nędza materjalna, nieszczęścia mogłyby ją tłomaczyć. U opasłych jednak i o jutro spokojnych przedstawicieli wielkiego kapitału stanowisko takie budzić musi przedewszystkim uczucie litości i pogardy.

Interpelację według powszechnych przewidywań większość Dumy odrzuci, jako nieuzasadnioną.

E. Grabowski.

POTRZEBA HAMULCÓW.

Jeśli weźmiemy do ręki świeży egzemplarz dziennika lub tygodnika—razi nas barwa przedwcześnie zwiędłych kolumn. Pewnego poranku na szpaltach pism wstaje z tryumfem kwestja, dajmy na to, neoslawizmu, i w sposób natrętny i wysoce dokuczliwy drażni oko czytelnika wszelakiego autoramentu przez przeciąg conajmniej dni czternastu. Mówię—drażni oko, gdyż jałowe opowiadanie i przeżuwanie bez przerwy wyczerpanego dawno tematu nie może zmusić ludzi, nawet najbardziej interesujących się podróżą do Sofji, do uważnego studjowania monologów anemicznych lub napuszonej deklamacji dziennikarskiej. Nasza prasa codzienna stanowczo nie ma i nie zna miary. Ma się wrażenie, że orędowniczka t. zw. opinji publicznej nawet w tak płytkim dziś nurcie umysłowym straciła busolę i pędzi naprzód bez żadnej kontroli i w stanie zupełnej dezorjentacji. Jałowość prasy przypisuje się zazwyczaj wyjątkowej konstelacji warunków politycznych. Są tacy, którzy posuchę piśmienniczą objaśniają brakiem tematów. Są jeszcze i tacy, którzy wszystko złe przypisują brakowi ludzi uzdolnionych i odpowiednio przygotowanych. Lecz wszyscy razem gotowi chórem oświadczyć: „ha! cóż robić, takie czasy,—czasy takie, mój panie!" We wszystkiem tkwi atom prawdy, i dlatego cała sentecja, zresztą czysto kawiarniana, wyraża bałamutne kłamstwo. Nie jest winą czasów, że zaprzepaszczono redaktorów z nerwami i obdarzono nas kierownikami bez nerwu redaktorskiego—oportunistów bezideowych z urodzenia i temperamentu.—Nie jest znamieniem czasu, że zdegradowano ludzi o gorących głowach i sercach i wyszczuto daleko poza granice kraju, zmuszając ich do pracy na niwie cudzoziemskiej. Nie z woli nieba oskubuje się młode orły z piór pisarskich, a z woli protektorów pism—wekslarzy, bankierów, klechów, kuratorów trzeźwości moralnej i upodlenia bezideowego. Słowem, nie tylko warunki polityczne wpływają na obniżenie poziomu dziennikarstwa, lecz także, i bodaj w nie mniejszym stopniu, grupy kierowników i „przyjaciół pism", którzy zawsze gotowi są służyć „dobrej sprawie", którzy również gotowi są zawsze dać upust uczuciom swoich serc gołębich, a które po obfitem wylaniu działają i dają się srodze odczuć jako wylew małpich instynktów. Kto miałby cierpliwość czynienia zoologicznych metafor—mógłby naszkicować w naszem światku prasowem cały szereg ciekawych karykatur, które niestety nie byłyby zgoła w yolbrzymieniem istotnych i istniejących oryginałów...

Co smutniejsze, że prasa wskutek swej teraźniejszej jałowości i bezbarwności usiłuje coraz częściej postępować za głosem tłumu, wsłuchuje się w jego szemranie, lub łączy się z nim, i tym sposobem schodzi ze stanowiska wyrazicielki opinji do poziomu mas, tracąc po drodze swą własną naturalną rolę. Instytucja miarodajna, ulegająca bezwzględnie opinji i nastrojowi tłumów (nie publiczności) przez to samo już przestaje być miarodajną. Jak dalece prasa nasza utraciła wszelki kontenans, świadczy metamorfoza chociażby „Kurjera Warszawskiego", który wyrzeka

---

zapragnie powiększyć ten zysk, rozwinąć korzyści. Wtedy rozpocznie się stopniowa sprzedaż ludzi, z początku może jeszcze z pewną dozą uczciwości, a potem już wobec łatwowierności kupca, który każdą głową gotów opłacać sprzedaż wszystkich znajomych, nieznajomych, bliskich i dalekich, potem wogóle kupczenie.

Taka hypoteza renegacji posiada zapewne wiele cech prawdopodobieństwa, nawet niewątpliwie zasadnicze linje są w niej przedstawione zgodnie z istotą rzeczy,—ujemną stroną jej jest jednostronność i trochę może w związku z tą jednostronnością zbyt idealistyczne odmalowanie człowieka.

Ten idealistyczny element jest niewątpliwie, ale obok niego, przytłaczając go czasami całkowicie, występują inne objawy psychiczne, inne siły poruszające i kierownicze czynów ludzkich i zmieniają częstokroć doszczętnie całość psychicznego obrazu.

Taki przewrót jeśli się dokonywa, to dokonywa się rzecz prosta w znacznej części nieświadomie, umysł jednostki danej zdaje sobie sprawę zapewne z tego, że już powrót jest dlań zamknięty, że powinien wyciągnąć największe korzyści z tego co się stało, ale to zdawanie sprawy jest tylko postrzeganiem faktów et post, logicznego ujęcia i całokształtu takiego subjektywnie niepodejrzewam.

Subjektywnie wysuwają się na pierwszy plan pobudki i czyny bliskie sobie wzajem, natychmiastowe, powiązane ze sobą niezwłocznym efektem, ale całokształt obrazu znika, a nietylko znika, wprost nawet nie zaczyna się formować.

Wyraźniej może jeszcze tą samą drogą psychiczną przechodzą ci, którzy zaczynają swoją delatorską czynność wcześniej nawet niż zostali do tego zmuszeni, nie czekając zwróconych przeciwko sobie podejrzeń i takich jest sporo, tacy jednak przeważnie są nieznani i o ich psychice nie możemy sądzić bez obserwacji. Jeden tylko taki człowiek wyraźnie z otwartą przyłbicą stanął przed sądem przynosząc nieoczekiwane samooskarżenie, grożące mu śmiercią, a obok pokaźny snop oskarżeń takich samych przeciwko innym ludziom skierowanych.

Jeżeli jednak w poprzednim wypadku okoliczności towarzyszące pierwszemu krokowi, wpływają na to, że delator może coś wystawić na uzasadnienie swojego kroku, krok ten staje się mniej lub więcej możliwym do pojęcia, a przeto i psyche człowieka uchodzi za normalną i wartość jego rewelacji może mieć pewne względne znaczenie, to nie można powiedzieć tego samego o rewelacjach osób, których renegacja czy przeobrażenie są zjawiskiem zewnętrznie nieumotywowanem, takie przeobrażenie wewnętrzne bez jakiejkolwiek osobliwej pobudki naprowadza na rozmaite wątpliwości co do ładu psychicznego osobnika, a w każdym razie co do równowagi pobudek i czynów, którą by pozwalała nadawać cenę rewelacjom. To też raz

się bezwiednie swej upartej, wieloletniej trzeźwości filisterskiej. Organ ten, który tradycyjnie przeciwstawiał się wszelkim nowym prądom w literaturze, który Przybyszewskiego traktował jako bête noire, młodego Brzozowskiego jako zwichrzonego szkodnika narodowego, a wszelkie żywe płomyki wyzwalającej się myśli szczerze przyjmował jako złe i dręczące zwiastuny rozkładu duszy narodowej—dziś stracił głowę i nie wie kogo chwalić, kogo ganić. Zawiódłszy się srodze w dawniejszych swoich obawach co do nowatorstwa intelektualnego — „Kurjer Warszawski" zaprzepaścił swoją wstrzemięźliwość, która przyprawiała go o śmieszność—i dziś doszło nawet do tego, że np. Micińskiego chwali na całe gardło. Jest to szczegół dość znamienny, świadczący, że nawet głowy najbardziej tępych filistrów poczynają kołem chodzić.

Brak kierunku jest dziś najbardziej wyraźną cechą prasy warszawskiej. W pewnych nawet sprawach płowieją wszelkie zabarwienia i odcienie i znikają odrębne probierze odmiennych stanowisk kierowniczych. Niedługo najpewniej nastąpi chwila, kiedy publicznie wypadnie prasę codzienną warszawską zdegradować ze stanowiska przodującego i pokazać jej rolę wyrazicielki ślepych, bezmyślnych, a nadewszystko oportunistycznych żywiołów.

Również ważne są symptomaty, ujawniające się w t. zw. literaturze poważniejszej. Przeżywamy czasy osobliwe, kiedy największy posłuch mają ci, którzy mówią najgłośniej, i to nie zawsze do rzeczy. Wskutek tego powstaje chaos w pojęciach i w pojmowaniu wartości. Zaś krytyka naukowa przemilcza rzeczy, o których należy równie głośno mówić, jak mówią o nich ich autorzy. Krytyka niezależna milczy powodując się tym sądem, że rzeczy, stojące niżej krytyki należy pozostawiać bez odpowiedzi. A wyniki tego są inne, niżli spodziewać by się należało. Szersza publiczność nie zrozumie pobudek milczenia naukowego. Objaśni je sobie tem, że nauka nie ma nic do powiedzenia. Rzeczy niżej stojące wszelkiej krytyki, czytelnik uzna za wartości, stojące wyżej krytyki, które w dodatku przerosły współczesność i które wskutek tego niedostępne są dla analizy myślowej. Rzecz szczególna, że głośne psychopatyczne, i dlatego pseudo-naukowe prace, jeżeli wywołują pewne oddźwięki — to jedynie impresjonistyczne, panegiryczne dla autora, nigdy zaś rzeczowe i przedmiotowe. Przemilczaniem rzeczy, dajmy na to, Lutosławskiego. Bełcikowskiego—właściwa krytyka toruje drogę dla umysłów stanowczo wytrąconych z równowagi lub poprostu dotkniętych manją posłannictwa w duchowem życiu narodu. Tym sposobem reklamowe odezwy wydawców z jednej strony, panegiryczne sprawozdania—z drugiej — przyczyniają się do tego, że manjackie, zgoła bezwartościowe pod względem naukowym utwory—osiągają największą poczytność — i ma się wrażenie, że czytający ogół wyznaje ten chaos myślowy i godzi się z nim całkowicie. Rzeczą niezależnych organów, które nie ulegają hypnozie krzykactwa i które uznają że zadaniem krytyki nie jest przemilczanie rzeczy „niżej krytyki stojących"— a pokazywanie rzeczowe utworów dla myślenia naukowego szkodliwych — zorganizowanie specjalistów dla systematycznego i bezwględnego zwalczania gromadzących się prac tego rodzaju, reklamowanych dla zysków wydawców, a nieprzynoszących społeczeństwu żadnego pożytku.

Jest rzeczywiście dojrzałą potrzebą, by ludzie pod względem umysłowym normalni i naukowo przygotowani wytworzyli sobie kryterja oceny prac szkodliwych, choć uznanych, i mieli odwagę głośno je wypowiadać. Wspomniany „Kurjer Warszawski", który niegdyć umiał na zimno obrywać skrzydełka młodych twórców, lub wyraźnie przyznawać się, że nowych rzeczy nie rozumie — powinienby obecnie spełnić rolę hamulca w biegu rozwoju literatury „lutosławskiej", a nie zalecać swym czytelnikom wertowanie rzeczy mętnych „przynajmniej" trzykrotnie.

Henryk Lukrec.

WYBORY W POZNANIU.

Gospodarcza polityka Koła polskiego w parlamencie niemieckim stała zawsze pod znakiem obrony interesów polskiej wielkiej własności ziemskiej w Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich. Wejście do

---

w raz sama prokuratura wojenna umarza jako bezdowodowe sprawy, w których wyżej wymieniony delator sam się oskarża i oskarża innych. Taka ocena ze strony prokuratury sądu wyjątkowego, sądu, który jakeśmy widzieli nie zawsze należy do najbardziej wymagających pod względem siły dowodowej argumentów sądowych, jest tem znamienniejsza, rzecz prosta, że stała się ona rezultatem wyraźnego doświadczenia o kłamliwości tego rodzaju rewelacji.

Całokształt psychiczny zatem tego rodzaju typów jest rzeczą wysoce zaciemnioną. Hypoteza wyżej przytoczona odrazu jego nie wyjaśnia dostatecznie, ale przypuszczam, że z nią już możemy jako tako rozpocząć wędrówkę w głąb tej psychiki, spostrzeżemy tam nawarstwienia rozmaite, które się nam zapewne ułożą jako tło umożliwiające dokonanie operacji zgodnej z naszą hypotezą.

Znowu postrzeżenie. Oto delator typu pospolitego, to znaczy taki, który rozpoczął swoje rewelacje dopiero wobec grożącego jemu osobiście rzeczywistego, czy urojonego niebezpieczeństwa, w którem dokonało się to nam hypotetyczne przeobrażenie, który doszedł do najdalszych niemal granic przez nas wyżej wskazanych t. j. oskarżał już bez wyraźnych powodów, dla usprawiedliwienia swojego istnienia, ułaskawiony i zamiast kary śmierci kilkakrotnie nad nim wyrokowanej, skazany na 6 miesięcy aresztu, po odbyciu tej kary pojawia się u swojej rodziny w mieścinie fabrycznej, gdzie jeszcze nie skończyła się żałoba rodzin po tych, którzy dziesiątkami za jego sprawą poszli na szubienicę i na katorgę, pojawia się i pomiędzy nim a tamtemi rodzinami trwa pewien stosunek. Zapewne goryczy tam jest dużo, chwilami może nienawiści, trywialne wymysły i przekleństwa idą za nim w ślad, ale przez swoją rodzinę komunikuje on tamtym rodzinom wiadomości o ich synach i córkach z katorgi, pozwala sobie na żarty, straszy ich, że ich dzieci w więzieniu chorują, lub opowiada o swoich planach na przyszłość;—słowem żyje w tem społeczeństwie, i to społeczeństwo nienawidzi go wprawdzie, ale się nim interesuje, kto wie może za lat kilka lub kilkanaście, wejdzie on znów w społeczeństwo to i nikt się temu dziwić nie będzie.

Pytam, czy nie jest to objaw znamienny? Zdawałoby się, a zresztą tak jest prawie zawsze, że koło stosunków człowieczych osobnika tego typu, po dokonanem przeobrażeniu, powinno się ściśle odkreślić, że więź pomiędzy nim, a wszystkiem cokolwiek jest z jego poprzedniego życia, powinna zostać zerwana zupełnie i bezpowrotnie, że człowiek ten powinien zacząć inne życie, życie niczem niepodobne do tego, co było. A tak nie jest. I znowu konieczność odpowiedzi na to pytanie wprowadza nowy zamęt w psychikę.

(d. c. n.).

Koła polskiego po wyborach parlamentarnych w czerwcu 1903 roku kilku posłów t. zw. ludowych, jako-to Kulerskiego i Brejskiego oraz Korfantego, pierwszego posła od polskiej ludności robotniczej Górnego Śląska, nie wywarło żadnego wpływu na zmianę tej polityki. Ile razy po roku 1903 parlament niemiecki zajmował się jaką sprawą z zakresu polityki gospodarczej, tyle razy Koło polskie gorliwie baczyło na to, aby interes rolnictwa, pojmowany jako interes wielkiej własności ziemskiej, nie był wystawionym na szwank, owszem jaknajwięcej korzystał przytem. Posłowie t. zw. ludowi nie byli w stanie temu zapobiedz; obowiązująca w Kole solidarność w wystąpieniach frakcyjnych nie pozwalała im głosować w takich wypadkach tak, jak tego wymagało dobro szerokich mas ludowych. Pozwalano im jedynie na powstrzymanie się od głosowania, wynoszenie się w chwilach, gdy należało przed oddanie głosu stanąć po stronie sprawy ludowej, za drzwi, podczas gdy reszta posłów z Koła polskiego głosowała w interesie agrarjuszy polskich i niemieckich. Tak też było i w lipcu roku ubiegłego przy uchwalaniu przez parlament niemiecki t. zw. naprawy finansowej. Koło polskie pomogło najpierw głosami swojemi odrzucić podatek spadkowy, mający obarczyć kieszenie ludzi bogatych, aby uchronić przed nim wielką własność ziemską, przyczem zaznaczyć należy, że wszyscy posłowie z Koła polskiego, i ci t. zw. ludowi, głosowali przeciwko temu podatkowi, a następnie razem z junkrami niemieckiemi uchwaliło kilkuset miljonowy ciężar podatków pośrednich na wódkę, herbatę, kawę, zapałki i t. d. W tym wypadku „ludowy" poseł Kulerski przerzucił się całkowicie na stronę agrarjuszy polskich, a posłowie Brejski i Korfanty w chwilach głosowania nad temi podatkami wynieśli się za drzwi.

O ile jeszcze w takim roku 1902, gdy Koło polskie w parlamencie głosowało za nową taryfą celną z niesłychanie wysokiemi cłami na zboże i mięso, masy roboczego ludu polskiego przyjęły ten krok swego przedstawicielstwa obojętnie, to jednak tym razem postępowanie Koła polskiego przy „naprawie" finansowej wywołało wszędzie wśród niego ogromne rozgoryczenie. Aby to zrozumieć, zważyć należy, że w ostatniem dziesięcioleciu rozwój życia przemysłowego Niemiec nie pozostał bez wpływu i na masy robocze polskie. Wciągnięci oni zostali w walkę klasową. Wprawdzie obrońcy polskiej klasy posiadającej, widząc, że robotnicy polscy w Poznańskiem oraz na wychodźwie, w przemysłowem obwodzie westfalsko-nadreńskim, coraz bardziej poczynają się garnąć do wolnych związków zawodowych, uznających zasadę walki klasowej jako wytyczną swego działania, powołali w roku 1901 i 1902 do życia „narodowo-polskie" organizacje zawodowe: Polski Związek Zawodowy z siedzibą w Poznaniu oraz Zjednoczenie Zawodowe Polskie z siedzibą w Bochum (w Westfalji). Choć organizacje te odżegnywały się od walki klasowej, to jednak w praktyce, chcąc spełniać swoje zadanie, odciąganie robotnika polskiego od klasowych wolnych związków zawodowych i od ruchu socjalno-demokratycznego, musiały one jednak imać się sposobów takich samych jak wolne związki zawodowe w walce z przedsiębiorcami: broni strejkowej. Robotnicy polscy w „narodowych" organizacjach zaprawiali się zatem do walki klasowej, musieli sobie stopniowo uświadamiać odrębność swego położenia klasowego, musiała w nich wzrastać samowiedza klasowa. I otóż gdy Koło polskie pomogło uchwalić reformę finansową, narodowi robotnicy zrozumieli, jak sromotnie zostali zdradzeni przez swoje przedstawicielstwo w parlamencie. Ciężar podatkowy, zwalony na barki ludu pracującego, musiano tembardziej odczuwać, że stało się to w chwili zastoju gospodarczego, kiedy klasę robotniczą trapią nieodłączne z nim zjawiska: brak pracy i obniżanie zarobków. Zaznaczyć jeszcze należy, że wskutek, gospodarczej polityki państwa niemieckiego, przysparzania przemysłowcom i agrarjuszom nadzwyczajnych zysków przez wysokie cła ochronne na płody rolnictwa i wytwory przemysłu, wszelkie artykuły potrzeb życiowych w ostatnich latach w Niemczech ogromnie podrożały. Wszystko razem złożyło się na to, że i polskie masy robotnicze po reformie finasowej opanowało wzburzenie. W dodatku stanowisko Koła polskiego przy tej reformie było takiem, że co się tyczy innnej kategorji podatków, t. zw. podatków od posiadania było one ze szkodą dla interesów polskiego mieszczaństwa, które na mocy przyczyn, jakich nie będziemy tutataj poruszali, coraz bardziej się rozwija. Pisma polskie, stojące na usługach tego mieszczaństwa, po uchwaleniu reformy finasowej uderzyły ostro na Koło polskie. Zmiarkowano się jednak wkrótce, że szlachta i mieszczaństwo mają wspólnego wroga: socjalizm, że wzburzenia narodowych robotników na Koło polskie nie należy rozdmuchiwać, lecz tłumić je, aby ten robotnik nie poszedł do socjalistów.

Organ narodowo-demokratycznej inteligencji, rekrutującej się w znacznym stopniu z szeregów mieszczaństwa a odsuniętej wskutek antypolskiej polityki od licznych posad rządowych, „Kurjer Poznański" po krótkiej kampanji przeciwko Kołu polskiemu w sprawie reformy finasowej, pierwszy wydał hasło: czas zaprzestać napadania na Koło polskie a zwrócić się przeciwko wspólnemu wrogowi: socjalistom. Zarazem skorzystano z tego, że poseł Chrzanowski nosi się z zamiarem złożenia mandatu i poczęto propagować myśl, że mandat ten należy oddać robotnikowi, aby oczywiście tym sposobem uśmierzyć rozgoryczenie mas robotniczych. Zjednoczenie Zawodowe Polskie, do którego w początkach 1909 roku wsiąknął i poznański Polski Związek Zawodowy, a któremu zdrada Koła polskiego przy „naprawie" finasowej również dawała się odczuwać, gdyż członkowie jego poczęli przechodzić do wolnych związków zawodowych, myśli tej uczepili się jak deski ratunku. Na konferencji obwodowej tej organizacji, odbytej w dniu 14-go listopada 1909 roku w Poznaniu, przyjęto jednogłośnie rezolucję domagającą się „z powodu coraz więcej rozwijającego się ruchu robotniczego — w interesie tego ruchu — o przedstawicielstwo własne w ciałach prawodawczych", mając to mocne przekonanie, „że społeczeństwo życzenia te poprze, a władze wyborcze w całej pełni życzenia te uwględnią."

Wkrótce potem p. dr. Chrzanowski mandat istotnie złożył. W prasie narodowej padły dwa nazwiska: Sosińskiego z Bochum, prezesa zarządu centralnego Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, oraz p. Nowickiego z Poznania, przewodniczącego oddziału robotniczo-rzemieślniczego tegoż Zjednoczenia. „Kurjer Poznański" począł gorliwie popierać kandydaturę p. Nowickiego, swego politycznego przyjaciela, twierdząc, że „p. Nowicki nie czułby się kandydatem stanowym, lecz ogólno-narodowym", którego obowiązkiem byłoby informowanie Koła polskiego specjalnie o sprawach robotniczych i rzemieślniczych, napominając przeciwników jej, „że oświata polityczna dotarła obecnie za pośrednictwem prasy ludowej do szerokich warstw ludu roboczego, że ruszyła się ta masa jak lawina", z czego ma wypływać ta nauka, że „naszym zadaniem i obowiązkiem postarać się o to, by ten ruch nie stoczył się na bezdroża, by raczej szedł zdrowem łożyskiem — na pożytek ogółu. A pod tym względem może nam wybór posła z warstw rzemieślniczo-robotniczych olbrzymie oddać usługi: odgrodzić masy ludu roboczego od socjalizmu i innych mętnych żywiołów silnym parkanem." Słowem wybór posła z warstw rzemieślniczo-robotniczych ma być środkiem przeciwko przenikaniu do robotnika polskie-

go idei socjalistycznej, poseł-robotnik ma się stać w ręku polskich wyzyskiwaczy narzędziem do ubijania samodzielnego polskiego ruchu robotniczego.

Inteligiencja narodowo-demokratyczna, grupująca się około „Kurjera Poznańskiego" i t. zw. Towarzystwa Demokratycznego, organizacji politycznej polskiego mieszczaństwa, poczęła kandydaturę „swego robotnika" p. Nowickiego usilnie forsować na zebraniach przedwyborczych. W mieście Poznaniu udało się to gładko. Oporniej już poszło na zebraniach w powiatach wiejskich, gdzie szlachta wraz duchowieństwem ma swoje wpływy i najchętniej widziałaby, gdyby kandydaturę robotniczą można było utrącić. Przekonawszy się jednak o niemożliwości przepchania kandydatury jakiego miłego sobie mecenasa, kandydaturze robotnika Nowickiego przeciwstawiła ona kandydaturę również robotnika p. Sosińskiego, nabrawszy uprzednio przekonanie, a ambitny ten człowiek za cenę mandatu stanie się w parlamencie powolnym sługą szlacheckim. Pan Sosiński w szlacheckim „Dzienniku Poznańskim" ogłosił list otwarty, w którym wyznanie swej wiary politycznej przedstawił tak, że brać szlachecka, która jeszcze przed niedawnym czasem lekceważyła go na łamach tegoż „Dziennika Poznańskiego", odmawiając mu wszelkich kwalifikacji na posła, wynosić go nagle poczęła pod niebiosa, jako wzór „robotnika-obywatela", gdyż dawał on jej gwarancję, że będzie w Kole polskiem tańczył tak, jak mu panowie szlachta nakażą. Na zebraniach przedwyborczych w powiatach wiejskich szlachta rozwinęła cały aparat swoich wpływów, aby przeprowadzić kandydaturę p. Sosińskiego. Ostatecznie jednak nie udało mu się jej to. Niektóre zebrania były tak burzliwe wobec opozycji zwolenników p. Nowickiego, że musiano je bez rezultatu zamknąć, inne wypowiedziały się za p. Nowickim i tylko niektóre za „ich robotnikiem."

W każdym razie większość narodowych wyborców, ogółem biorąc stanęła na zebraniach przedwyborczych po stronie Nowickiego. Nie zważając na to Prowincjonalny Komitet Wyborczy wolę ich pogwałcił i jako ciało, decydujące w ostatniej instancji, wysunął kandydaturę—Sosińskiego. W kołach zwolenników Nowickiego zawrzało jak w ulu. Jasnem się stawało, że w obozie narodowym dojdzie do secesji, że t. zw. solidarność narodowa pryśnie jak bańka mydlana. „Kurjer Poznański", Towarzystwo Demokratyczne i sam p. Nowicki wprawdzie oświadczyli, że, nie chcąc łamać solidarności narodowej, uznają uchwałę Prowincjonalnego Komitetu, ale skrycie poczęto organizować secesję, rozrzucając masowo odezwy bezimiennego „Komitetu Wyborczego ludowego" przeciwko kandydaturze Sosińskiego a za kandydaturą Nowickiego. Na kilka dni przed wyborami p. Sosiński przedstawił się na wiecu w Poznaniu wyborcom i po bardzo burzliwych obradach otrzymał od nich (w liczbie z górą 1500 osób)—wotum niezaufania. Na wiecu tym podniesiono przeciwko Sosińskiemu ciężkie zarzuty, z których ten nie zdołał się oczyścić, zarzuty togo rodzaju, że przy przyjeździe cesarza do Bochum spowodował on pewne towarzystwo polskie do tego, aby poszło ze sztandarem na powitanie cesarza i że sam sztandar wtedy niósł, że przed paru laty szedł w pochodzie związku wojackiego pod pomnik zwycięstw pruskich, wreszcie że jako członek towarzystw polskich pisywał protokóły z zebrań i posyłał je policji. Na wezwanie złożenia kandydatury Sosiński pozostał głuchym.

Nadszedł dzień wyborów, 8 kwietnia. Ze strony partji konserwatywno-klerykalnej wywierano szczególnie na wsi niesłychany nacisk na wyborców, posunięty miejscami aż do teroru, tak, że w niektórych miejscowościach przyszło do poważniejszych ekscesów, w jednej z nich zwolennicy Sosińskiego poważnie poturbowali swoich przeciwników z secesji. Mimo to szlachta walkę przegrała. Miasto odniosło zwycięstwo nad wsią. Mieszczaństwo może tryumfować. Głosów otrzymali: kandydat szlachty Sosiński 6964, kandydat secesjonistów Nowicki 11487, kandydat niemieckiego bloku liberalno-hakatystycznego, dr. Wilms 12579, kandydat polskiej i niemieckiej socjalnej demokracji Matuszewski 2241. Chociaż p. Nowicki przed wyborami zapewniał, że mandatu z rąk secesji nie przyjmie, to dla narodowców nie pozostaje obecnie nic innego, jak uznać jego kandydaturę, by w ścisłych wyborach nie przeszedł kandydat hakatystyczny.

W porównaniu z wyborami w styczniu 1907 roku wynik obecnych wyborów przedstawia się tak: narodowcy polscy stracili 2780 głosów, hakatysta zyskał 514 głosów, głosy socjalnej demokracji podniosły się o 864, t. j. o blisko 63 procent. W warunkach poznańskich jest to ładny postęp. Głosy te uzyskano na narodowcach; część robotników polskich nie dała się uwieść wrzaskom prowodyrów mieszczaństwa, zrozumiała, gdzie dla nich jest właściwe miejsce.

Co dalej? Duchy, rozpętane przez prowodyrów mieszczaństwa wśród masy robotniczej ludności stolicy Wielkopolski, stwarzają podatny grunt dla agitacji socjalno-demokratycznej. Robotnicy-narodowcy wkrótce będą mogli się przekonać, że robotnik-poseł w Kole polskiem, którem trzęsą zwolennicy polityki szlacheckiej, nie będzie w niem mógł nic uczynić dla interesów klasy robotniczej, będzie w niem albo prostym figurantem, albo też zacznie zdradzać interesy robotnicze tak, jak je zdradzają posłowie robotniczy w partji centrowej.

Na porażkę szlachty „Dziennik Poznański" odpowiada nawoływaniem swoich zwolenników do zorganizowania się, przeciwstawienia politycznej organizacji mieszczaństwa swej własnej organizacji. Kit t. zw. solidarności narodowej, spajający gmach narodowego wyzysku polskiego proletarjusza, poczyna puszczać. Zaostrzające się przeciwieństwa klasowe nie dają się już dłużej ukrywać, mieszczaństwo polskie domaga się władzy politycznej nad społeczeństwem. Ma mu do tego pomódz polski robotnik. Zadaniem socjalnej demokracji będzie wskazać polskiemu robotnikowi własną jego drogę.

Józef Materla.

ANTONI SZECH.

BOGINI ISZTAR.

(Baśń asyryjska).

Opowiem wam starą baśń, w niezrozumiałe, tajemnicze znaki klinowego pisma zaklętą, z pod cmentarzyska piasków Mezopotamji wskrzeszoną, smutną, i tęskną, jak słońce gdy tonie w żółtych falach pustyń — baśń babilońską.

— — — — — — — — — — — —

Piękną była, cudnie piękną boska Isztar,— Chaldejska Wenus—Uranja, bogini świętej miłości.

Piękniejszą niż złoty sen o szczęściu, wyśniony w sercu dziewicy, gdy pośród rozkwitłych gdzieś winnic, róż, migdałów, po nad cichemi wodami śpiących jezior, zaśpiewa słowik pieśń swoją tęskną, a księżyc świat cały w srebrne mgły owinie, i w baśń zmieni czarowną.

Piękniejszą niż czar wiosny, kiedy młoda, promienna, świetlana — uśmiechem żywym zbudzi poważne równiny Mezopotamji i kwieciem osypie zieleń łąk

bujnych, i w wonne ramy barwnych lotusów przystroi brzegi Tygru i Eufratu, i pieśń radosną tchnie w miljonowe rzesze ptasząt, i pieśnią rozkołysze lasy niezmierzone palm na dolinach— i cedry na szczytach niedostępnych turni.

Piękniejszą niż zaduma parnych letnich nocy, gdy nad Babilonem, ponad złotemi szczyty niebosiężnych, w jaskrawe barwy strojnych jej świątyń — roziskrzy się miljonami skier brylantowych, rozszeleści niezrozumiałemi szepty kędzierzawych lasów palmowych, roztęskni się westchnieniami kwietnych, wonnych kielichów z tajemniczych ogrodów Semiramidy, rozpłacze cicho kroplami białych oparów, co z nad płynących gdzieś w dal swych losów wód Eufratu witają widmowe — i dyszy oczekiwaniem nieprzepartem, tęsknotą zwycięską rozkoszy — wielkiej, tajemniczej.

Piękniejszą niż tęsknota morza, co szemrze wiecznie, wiecznie płacze, wiecznie śląc fale swe gdzieś w dal nieznaną — tęsknota za słońcem, co w górze, za złotych gwiazd rojem, za purpurą zorzy, za srebrem księżyca — wielka, wieczna, niezmienna, a nieukojona.

Piękniejszą niż gwiazda poranna, co jej nosi imię, gdy, zwiastunka słońca, na jasnym już blaskami zorzy przesyconym krysztale lazurów, świeci czystem srebrem.

Niż srebrne marzenie księżycowej nocy —
Niż szczyty śnieżnych gór w koronie zorzy —
Niż wielka święta pieśń, którą świat śpiewa—
Na cześć Baala — stwórcy.

— — — — — — — — — — — — —

Niebiosa i ziemia.
Bogowie i ludzie — przystroili ją cudnie.

We wszystkie blaski i we wszystkie gwiazdy, w rubiny zórz porannych, w purpury zachodów, w klejnoty czarnych podziemnych przepaści, w złote tęcze snów i cuda marzeń:

Bo ona bogów ukochaniem i ludzi tęsknotą.

Miłością wielką bogów, tęsknem pożądaniem ziemskich wygnańców.

Najpiękniejsze blaski lśniły w jej koronie.

Blaski, wobec których konały smutne blaski słońca.

Płaszcz jej, utkany miłością wszechświata, królewskim jaśniał przepychem.

Djamenty, perły, rubiny, szafiry, co zdobiły przepaskę biódr jej dziewiczych, zaklęte wolą bogów, jak gwiazdy własną swą świeciły mocą.

Zasłona, co kształty jej boskie tuliła, co pokrywała sanctis simum jej ciała, zasłona poprzez którą przedzierały się ku niej od wieków chciwe pożądania wszystkich — niepokalanem, przeczystem olśniewała światłem.

— — — — — — — — — — — — —

I cieszył się nią wszechświat cały.

Dla niej śpiewały ptaszki swe proste, ale szczere, serdeczne piosenki.

Dla niej wśród czarodziejskich ogrodów Babilonu w srebrne noce letnie pachniały najcudniejsze ziemi całej kwiaty.

Dla niej w djamentowe blaski stroiły się gwiazdy i księżyc magicznem swem zaklęciem świat cały w sen przemieniał srebrny.

Jej hymn śpiewały niezmierzone palmowe lasy Mezopotamji, złote w promieniach zachodzącego słońca, jak szeregi kolumn w złotych pałacach Assurbanipala, gdy ona jaśniała w różanych toniach zachodniego nieba świetną gwiazdą — wieczornicą—i palma każda w złocisty ornat światła przybrana, jak kapłan w świątyni, cześć jej dawała pieśni swej i hołd pokłonu.

Jej pieśń swą niosło morze, tęskną, rozełkaną, straszliwą czasem ogromem wezbranej żądzy miłosnej i w wyczerpaniu miłosnych porywów—omdlewało u stóp jej władczych, jak kochająca niewolnica u stóp kochanka — króla.

Dla niej rączy Tyger i poważny, majestatyczny Eufrat—wszystkie barwy ziemi, wszystkie blaski nieba, wszystkie światła rozgwieżdżonych nocy brały na siebie, by pięknemi być przed nią.

Dla niej pustynia nawet, — smutna, dzika pustynia w płaszcz się stroiła kuszącego smutku, zadumy, melancholji, i uporczywie wiekuiście, z tesknotą bezbrzeżną ku niej patrzyła.

Nawet przepastne bagna, otchłanne moczary, — ponure, złowieszcze, aby jej nie razić, stroiły się w miljonowe gwiazdy lotusów i barwami tysiącznemi nieba nęcić ją chciały ku sobie.

Do niej wdzięczył się wszechświat cały — niebiosa i ziemia, góry i morza, lasy i pustynie.

Bo ona świata całego ukochaniem —
Pociechą i ozdobą —
Pięknością i chlubą
Bo ona życia źródłem, celem, istotą, podstawą
Bo z niej i dla niej wszystko.
Ona bogów i ludzi — matką, kochanką, tęsknicą.
I wielkiem, jedynem, prawdziwem szczęściem.

Ale choć szczęście dawała wszystkim boska Isztar sama nie była szczęśliwą.

Ona — wiekuista miłość — wiekuistą też była tęsknotą.

Uosobienie miłości, nieukojonem też być musiała pożądaniem.

Daremnie wszechświat roztaczał w koło niej wszystkie cuda, na jakie zdobyć się mógł z miłości swej wiecznej.

Daremnie w blaski złote słońca, w brylanty gwiazd, w srebrne promienie księżyca, w rubiny zorzy porannej – w purpurę zachodu stroiły się nieba lazury.

Daremnie białe szczyty górskie pięły się ku niej by ucałować jej stopy i ziemia roztaczała wspaniałe kobierce mórz, lasów i łąk ukwieconych.

Daremnie miłością, burzami pieszczoty, oceanami rozkoszy darzyli ją bogowie.

A ludzie marzyli o niej cudne sny młodzieńcze.

Wśród cudów, pieśni, pieszczot—
Wśród przybytków z lazurów, świateł, gwiazd, blasków—
W miłosnych objęciach bogów—
Ona tęskniła — pożądała wiecznie.

Aż oto — w rozpacznej tej swojej tęsknocie,
Zapomniawszy o wszystkiem,
Pogardziwszy wszystkiem —
Pożądanie swe nieukojone, za jedynego biorąc przewodnika—

Powstała z gwiaździstego łoża, które z bogami tylko dzieliła—

Opuściła pałace swe górne—

I, tam poszła w krainę oną tajemniczych mroków, której jednej nie znała dotąd, która jedna czci jej nie oddała nigdy — i miłości swej nie oświadczyła.

W krainę ciemną, ponurą, rozjaśnioną tylko krwawemi błyskami oczu ciemnych, strasznych duchów, i drżącemi płomykami błędnych ogni, co krążą blade wśród labiryntów, podziemnych przybytków, budząc iskry dziwne w posadzkach z drogich kamieni i w sklepieniach z brył złota wzniesionych.

W krainę straszną a nęcącą—

Jak nęcą czarne topiele górskich jezior, gdy blade żarzą się w nich gwiazdy—

Jak otchłań każda nęci, jak odmęt pociąga,
Jak tajemnica wabi,

Choćby najstraszliwsza, owszem, im straszliwsza bardziej, tem bardziej nęcąca.

Tam — tęsknotą swą gnana poszła boska Isztar. Samotna, porzuciwszy dwór swój królewski, wojsko swych czcicieli.

Z pragnieniem serca swego tylko, z pożądaniem swojem, z tęsknotą tylko swą nieutuloną.

Bo miłości przedmiot jej pragnień potrzebny.
Wszystko inne — ciężarem, udręką —
Bóg nawet sam.

Gdzieś, wśród skał dzikich Dżebelu, w głębi jaskini, grozą ziejącej—jaskini, do której nikt dotąd zbliżyć się nie ważył, której duchy strzegą milczące, straszliwe — otwarły się przed nią wrota podziemnej krainy.

I zawarły się z echem złowrogiem.

I szła boska Isztar — w głąb po wielkich wchodach, niżej, wciąż niżej, — szła po przez gmatwaninę nieskończoną sal, przejść i dziwnych świątyń.

Depcąc brylantowy piasek posadzek, który rozpalał się tajemniczo pod jej stopami, przedzierając się przez lasy złotych kolumn, z których błyskawice rodziły się blasków, gdy promień jej oczu padł na nie, przeciskając się przez tłumy duchów niewidzianych nigdy — pięknych, a strasznych, o dziwnych ogniach oczu, — duchów, które jakieś tajemnicze spełniały misterja.

Szła dalej, wciąż niżej, gdzieś w nieznany bezkres—Za tęsknotą swoją, za wymarzonem ukochaniem duszy, za dręczącą tajemnicą serca.

A w miarę jak zstępowała coraz niżej, w coraz to niższe piętra dziwnych gmachów—
Słabła wciąż, gasła świetna aureola tęczowych blasków, co otaczała ją dotąd

Gasła, jak gaśnie zorza, krwawsza coraz i coraz smutniejsza—

Przed zwycięzkim nocy pochodem.

I osunęła się jej korona z klejnotów, która słońce gasiła swym blaskiem—

Korona ręką najpiękniejszego z bogów uwita, gdy klęczał przed nią, o łaskę jej żebrząc.

Potem opadł płaszcz jej królewski, łączny dar duchów wszystkich, niebieskich i ziemskich,—z marzeń o niej, z cudów myśli, tęsknot, pragnień wszechświata utkanej.

Potem ze smutnym szelestem, wichrem jesiennym złamanej gałązki, uderzył o ziemię pas jej djamentowy co dziewicze tulił jej biodra,

Którego boskie tylko ręce, miłością znaglone zwycięzką, tknąć się dotąd śmiały.

Wreszcie osunęła się ostatnia zasłona, co ciało jej kryła

To cudowne „sanctissimum" wszechświata—
Ten przedmiot tęsknoty wszelakiej
Nieświadomych i uświadomionych wszystkich pożądań—

I stanęła boska Isztar, wspaniała przedtem królowa, co w blaskach była wprzódy gwiazd, słońc, złocistych tęcz, świateł, cudów

W lazurowych nieba pałacach—
Na łożu z purpury jutrzennej—
Wśród hołdów bogów i świata—

Naga teraz, pięknością tylko odziana swych wdzięków sama i drżąca—

Naga, w płaszczu ciemności roziskrzonych tylko odblaskami brylantowych posadzek i złocistej poświaty ścian dziwngo przybytku

Naga, pod wejrzeniem ognistych oczu podziemnych mieszkańców—wejrzeniem innem niż to, którem modlili się do niej bogowie.

A i blask jej oczu stał się, teraz innym, tajemniczym bardziej i kuszącym, jak ognie, co skrzą się w ciemnych źrenicach wód w gwiaździste noce.

I usta rozchyliły się inaczej, niżeli tam wśród niebios. I białe jej piersi zadrżały od innych, nieznanych jej wprzódy uczuć i pożądań.

Ognistą barwą zakwitły róże czystych pagórków jej łona. I potoki krwi gorącej zrumieniły alabaster jej ciała,

Jak blaski zórz niepokalany śnieg na górskich szczytach.

Stała tak, boska Isztar przed królową podziemnych przybytków—

I zapytać się chciała o przedmiot tęsknoty swej, ale nie mogła.

Stała milcząca—

Naga, drżąca, piękna zawsze, ale nie boskiem już pięknem, nie bogini już—ale hetera.

Więc smutek ogarnął wszechświat.
Zadumali się smętnie bogowie, na gwiaździstych tronach swych wsparci

I łzy płynęły im z oczu, gdy na opróżnioną patrzyli stolicę Isztary, stolicę z taką miłością przez nich ozdobioną.

I smutek dziwny, tęskny, głęboki, niepojęty dla nich samych, niezrozumiały, niewytłumaczony, spłynął w serca ludzkie—

I smutkiem zadźwięczały śpiewne liry wieszczów
I od smutku przygasły jasne oczy dziewic—
I smutkiem omdlałe. osłabły ramiona kochanków
I smutne gwiazdy pobladły na niebie—
Pogasły zorze poranne z łona zachodu—
Powiędły kwiaty. umilkły ptaszyny—
Cedry i palmy zapłakały z cicha—
A morze zawyło rozpaczą.

Bo ta, co ozdobą była, szczęściem, radością wszechświata.

Pociechą bogów i cudnym snem ludzi—
Naga dziś—drżąca od tajemnych ogni—
Bezwstydna—ziemska już—nie boska nadgwiezdna.

— — — — — — — — — — — —

Oto co mówi stara kilkudziesięciu wiekami—prosta i tęskna baśń asyryjska.

Baśń powstała może pośród rozgwaru orgii, któremi rozbrzmiewały mury Babilonu, wśród odgłosu piersi rozpustnych, które brudną falą opływały, i święte niegdyś miasta, wśród pijanych okrzyków i namiętnych jęków.

Baśń zrodzona w duszy nieznanego nam wieszcza, co bolał nad upadkiem ojczystego miasta, chlubą niegdyś wielkiego narodu, a spodlonej potem nierządnicy i który widział już w łonie krwawem, piorunowem chmur brzemiennych burzą nad miastem grzesznem niewidzialne jeszcze dla innych Baltazarowe straszliwe znaki: mane, thekel phares.

— — — — — — — — — — — —

A może ta baśń dawna o asyryjskiej Isztarze —
Nowa jest i dziś—
Odległą a współczesną.
Może i dziś tyle smutku w świecie—
Taką teskną pieśnią płaczą wieszczów liry.
I łzy się sączą w duszach—
Bo Wenus—Uranja czysta, święta miłość—
Bezwstydną się stała—
Nędzną Wenus Pandemos.

Może i u nas smutna polska ziemia, smutne płacze lasy, nabrzmiałe rozpaczą pieśni śpiewają nasze łany zbożne, bo ta co ozdobą nieba miała być i ziemią.

Ewą Pobratymską zawitała do nas.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Kazimierz Przerwa Tetmajer. Poezje. Serja VI.

Poezje Tetmajera tchną beznadziejną melancholją. Jego dojrzały talent nie znajduje już tego szerokiego oddźwięku w szerokich kołach co dawniej. Przyczyną jest tu zmiana w charakterze uczuciowym czytającego ogółu.

Kiedy Tetmajer wystąpił—literatura polska była w epoce pognębienia zmysłowości. Literat, siadając do pracy, winien był natychmiast uszlachetnić się, zapomnieć o zmysłach, jeśli je posiadał, być wysoce moralnym, aby świecić przykładem. Ten przymus etyczny wytworzył dużo stylizowanej pruderji. Nagromadziły się całe sterty obłudnej kunsztowności, zastrzeżeń, przemilczeń i westchnień.

Tetmajer odważnie wkroczył w tę sferę i odkrył miłość zmysłową. Dał jej plastykę, krew, tętno. Ogromna wziętość tego poety była nie tylko hołdem, składanym jego pięknej formie, lecz i wdzięcznością za to, że wzywał *do życia*, odsłaniał jego wielki powab.

Lecz dokonawszy tego wyzwolenia, od którego nie jedna pierś westchnęła z ulgą, Tetmajer zaplątał się w inną sieć, utkaną wlasnemi rękami. Zaczął rozpływać się nad klęską życia, a zwłaszcza nieszczęściem erotycznem. Jego powieść „Otchłań" jest istną apologją niedołęstwa w cierpieniu. Jęczenie na los, bierne poddawanie, uważanie zła za siłę wyższą, niezależną, stała się nieodłączną cechą jego talentu. Wyższość tetmajerowskiego bohatera polegała na tem że cierpiał on w sposób wyjątkowy, dochodząc w tym względzie aż do rozmaitego rodzaju kokietujących czytelnika póz artystycznych.

Na to obfite źródło wszelkiego rodzaju biernych stanów nieszczęśliwości rzucono się również z zapałem. Było to w owej epoce, filozofujące panny—a kobiety najczęściej wytwarzają sławę artystyczną, orzekły, że cierpienie uszlachetnia. Lubowanie się nieszczęśliwością stało się rodzajem epidemji.

Uszlachetniano się przez długie lata. Upajano się trunkiem nieszczęśliwych--melancholją. Lecz wyłącznie oddanie się jednemu stanowi uczuciowemu zawsze grozi katastrofą. Pewnego dnia psyche polska obudziła się zdjęta przerażeniem. Uczuła, że martwieje. Jej benjaminek—bierne cierpienie—zaczęło jej nucić pieśń pogrzebową, sądząc, że cierpliwa mateczka i to przyjmie z podziękoweniem. Spostrzeżono, wreszcie że nie tyle uszlachetnia cierpienie, co walka z niem.

Dziś stan duszy polskiej jest taki: ogromne pragnienie przekształceń, potrzeba wyzwolenia się z tysiąca powijaków, dobrych dla mumji, nieznośnych dla organizmów żyjących. Potrzeba słońca, rozkoszy i radości, potrzeba by raz wreszcie wyrwać się z atmosfery szpitali i melancholji. Pokolenie najmłodsze wchodzi w życie poprostu rozwścieklone tą atmosferą nudy, zabobonu i zastrzeżeń, jaką zionie naszę podwórko Słowem—jest dziś u nas pragnienie wzmożonego życia, wobec którego melancholijnie—piękne poematy Tetmajera mają znaczenie dla tych tylko, którzy, nie zważając na charakter chwili, czczą w nich uczucie człowieka, zaklęte w mistrzowską formę.

L. Choromański.

Mieczysław Srokowski — Jak łza—nakład księgarni K. Idzikowskiego. Warszawa 1910 r.

Zbiorek nowel, zatytułowanych „Jak łza" jednego z lepszych nowelistów współczesnych, zawiera gładko i potoczyście pisane opowiastki, zpośród których dość oryginalną w pomyśle jest nowela p. t. Sycyljanka.

Opowiada w niej autor o miłości pewnego piętnastoletniego chłopca „bogatej rodziny" „doskonale wychowanego" do swej matki.

Pierwszą miłość dziecka brutalizuje kochanek mamusi pan Witold Rzewnicki.

Syn przyłapuje matkę z kochankiem w chwili, gdy ten, pochylony tuż nad mamusią, szepce jej coś do ucha tak blizko, że ustami niemal dotyka jej twarzy. Następuje katastrofa. Syn wali pięścią w łeb kochanka, a potem pierś mu rozdziera suche, gwałtowne łkanie — mamusia chce coś powiedzieć łamie ręce i szlocha — syn wyjeżdża do szkół, przyjeżdza na wszystkie ferje chłodny, grzeczny, a potem, po patencie rusza w świat na długo, długo...

Nowele Srokowskiego posiadają wszystkie zalety stylu narracyjnego, tematem ich są przeważnie zjawiska erotyczne: autor przedstawia dziecięce formy tych zjawisk w noweli „Jak łza", lub sentymentalne w „Szklance wody".

W duszy autora tłuką się podarte echa chrześcijanizmu, wziętego z wychowania i otoczenia — znajdują one artystyczny wyraz w pomieszczonych w zbiorniku poezjach prozą, zatytułowanych „Z umarłych wierzeń".

Antoni Nowacki.

LIST DO REDAKCJI.

SZANOWNY REDAKTORZE!

Po raz pierwszy i zapewne ostatni odstępuję od zasady — proszę Cię, Sz. Panie, o łaskawe zamieszczenie mego oświadczenia, krórem pragnę odbić zbyt bezceremonjalne ciosy pana Wacława Rogowicza, zajmującego obecnie stanowisko sprawozdawcy teatralnego w „Prawdzie". Mam nadzieję, że ci wszyscy, którzy, jak ja, za najmędrszą dyplomację uważali milczeć na głupie pytania i niedorzeczne zarzuty, nie odpowiadać na kalkulacje snobów dziennikarskich i oczajduszów tej przykrej maniery, którą się z Paryża przywozi razem z modnemi kapeluszami — wybaczą mi te słowa, sprowokowane tandetnym liryzmem p. R., który wziął mnie za powód do swoich niewyszukanych improwizacji! Nigdy zatem nie odpowiadałem na zarzuty, czynione mi z racji moich utworów, chociaż uczynić to mogłem z łatwością. I teraz również niewiele kosztowałoby mnie czasu zestawienie odpowiednich dat i potwierdzenie ich nazwiskami dyr. Zaleskiego, pp. Gorczyńskiego, Orlińskiego, prof. Zyg. Wejberga, którzy o mojej sztuce wiedzieli w czasie, uniemożliwiającym wszelkie „pożyczki" z „Sąsiadki" lub „Srebrnych szczytów," lecz rządzę się przekonaniem, że mnie na drodze mego rozwoju kulturalnego żadne potwarze świadome czy nieświadome, zaszkodzić nie mogą. Zadawalniam się zatem wyświetlleniem drogą prywatną pewnych podobieństw, które zresztą zdarzają się dosyć często we wszyskich utworach niemal, powstających w tym samym czasie i w tem samem środowisku. Nie mogę jednak przemilczeć głosu nowoprzybyłego z Paryża trębacza „paryskiej kultury," który dmie w puzon wielkiego oburzenia i piorunuje na rozbasowaną Warszawę za to że ośmieliła się przyjąć życzliwie moją sztukę. Rozpacz tego importowanego z Moulin-Rouge polaka, jego podniosły ton i rady profesorskie jakich mi udziela, dowodzą, że spacery po lasku Bulońskim najwidoczniej zaszkodziły panu Rogowiczowi, który chociaż w szóstym czy ósmym roku, jak sam powiada, „szukał swego literacie" — (a może, kto wie, zajmował się malarstwem) dzisiaj traci przytomność i drapuje się w togę „świętej nauki," pragnąc taniemi wymysłami pod moim adresem, coś nie coś powiedzieć o sobie samym, jako „koledze recenzentów pra-

sy codziennej". Przemilczałbym nawet i te elekubraly, gdyby to, co pisał o „Wolnej kobiecie" pan Rogowicz, miało jakiekolwiek cechy recenzji teatralnej, traktującej rzeczowo powierzone zadanie. Ale pan Rogowicz zapomniał, że i w Polsce obowiązuje pewna kultura w wypowiadaniu swoich przekonań. Temperament unosi go tak daleko, że zaczynamy sobie przypominać o tych „schodach kuchennych," których zapach, według wykwintnego pana Rogowicza, charakteryzuje moją sztukę, a które są chyba miejscem urodzenia nowego estety, jakiego Polska otrzymała w spadku, po zawodach twórczych autora „Zochy" i „jeszcze tam czegoś".. Najbardziej ze wszystkiego nie podoba się jednak sz. sprawozdawcy to, że na kołderce, którą się przykrywała Selizetta, rozsiadła się kobieta z duszą urodzonej prostytutki. Bardzo współczuję mękom, któremi moralność pana Rogowicza została dręczona, ale już chyba szanowny pan Rogowicz przesadza, uważając „Wolną kobietę" za hańbę mojej młodości, dla której podobno nie mam szacunku! Czemu to sam pan Rogowicz wówczas, kiedy jego limoniadowa powieść strawestowana z „Karykatur" cieszyła się popularnością w najbardziej ograniczonych warstwach naszego mieszczaństwa, nie ubolewał nad swoją młodością, którą rzucał w konkurencyjną walkę z panią Grot-Bęczkowską i Emmą Jeleńską? Czy pan Rogowicz nie wie o tem, że zarzucając komuś nieporządek w domu, trzeba pierw samemu śmiecie z własnego mieszkania uprzątnąć? A może panu Rogowiczowi wystarcza jego kukuryku wymownym tonem zaśpiewane, dla pospolitego błazeństwa wojującego snobizmu. Pod znakiem Chanteclera powstają rozumy estetów *minorum gentium*, biorących za tarcze swojej pustki duchowej, wytarte liczmany fałszowanej wzniosłości — i grają wysokim tonem o paryskiej kulturze, nie widząc, że z togi udrapowanej wyłażą brudne kolana pospolitych oszustów duchowych, którzy brak talentu łatają, jak szewc buty— frazesem o tem, czego inni nie widzieli!.. Jeżeli pan Rogowicz pragnie powiększyć liczbę Eustachych—to na mnie przyszła kolej winszowania mu pomysłu. Nie chcę jednak, aby mnie posądzono o zbytnią złośliwość. Pan Rogowicz przyjechał wygrzewać premierowe fotele. Teatr ma zatem nowego szkodnika, który dla swojej dotkryny gotów dopuszczać się najwyższych niesprawiedliwości. Niech mu służy ten słodki chleb, który jest więcej kamieniem, niż chlebem, niech prawi o kulturze paryskiej — niech rozdziera szaty nad Warszawą, która popiera utwory oryginalne—niech będzie zawsze, całe życie recenzentem „Prawdy"—tylko niech się nie ośmiesza radami — co inni mają czytać i studjować, żeby się ich utwory panu Rogowiczowi podobały. Bo pozwól sobie powiedzieć, szanowny panie, że chociaż jesteś taki mądry i subtelny, że nie zazdrościsz mi sukcesu — ja, doprawdy, nie zazdroszczę Ci Twojej... inteligencji! Może Ci się to wyda dziwnem, skoro już w szóstym roku „szukałeś swego literacie"— ale mam nadzieję, że w wędrówce po świecie przekonałeś się nieraz, Szanowny Panie, co się staje z cudownemi dziećmi. Między malarzami pokojowemi, restauracyjnemi grajkami i dependentami u adwokatów, pełno sześcioletnich geniuszów, którzy już w 16 roku życia przestali się rozwijać! Nie mam zamiaru pana Rogowicza do nich zaliczać, bądź co bądź napisał kiedyś powieść o uwiedzionej dziewczynie! I to przecież także coś znaczy, gdy mowa o pohańbieniu młodości! Szkoda tylko, że tak prędko zapomniał o swojej. Jeszcze czas panie Rogowiczu, zazdrościć laurów Jeleńskim i pluć na owoce ludzkiej pracy i, jak sam przyznałeś, talentu. Racz Pan pamiętać, jeżeli i pierś Twą pustka nie kompromituje, że na rzucanie pod nogi kamieni, zawsze jest zawcześnie!

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Stefan Kiedrzyński.

Z TEATRU.

Jan Adolf Hertz. U źródła cnót.

I.

Dwa są kąty widzenia, pod któremi rozpatruje się u nas nowe dzieła sztuki, a szczególnie utwory teatralne młodych autorów.

Jeden z nich to ten mały kącik ciasnych umysłów, mieszczący w sobie tylko rzeczy drobne, nie przewyższające swemi rozmiarami skąpego obszaru suteren intelektualnych. Utwory wielkie nie znajdują tam miejsca nigdy, a mniejsze tylko wtenczas, gdy uda się nożycami przesądu wyciąć z nich pewne „nadmierne" wybujałości. Gdy na widnokręgu artystycznym ukaże się nowy twórca, ci właściciele tanich ale pozbawionych powietrza i światła lokalów zapytują przedewszystkiem o papiery legitymacyjne. Jeżeli personalja są w porządku, znajdzie się miejsce nawet dla niedołężnego kaleki. W przeciwnym razie wypędza go się za próg z obawy, aby otwierając drzwi, nie wniósł świeżego powietrza do ciemnych, zatęchłych nor. I słusznie, gdyż lokatorowie mogliby sobie przypomnieć, że i oni mają prawo do słońca...

Drugi to kąt widzenia wszechwładnych, panujących krytyków. Mieszkają oni w jasnych pokojach, zarzuconych książkami. Długoletnia działalność krytyczna przyniosła im w darze dwie wartości i kulturę artystyczną, opartą na uzdolnieniu osobistem i na wiedzy, i nudę. Gdy ukaże się nowy utwór, odpowiadający ich własnym poglądom artystycznym, klepią autora dobrotliwie po ramieniu i mówią: *„disce, puer, ego te latiam* „naszym sławnym"· I piszą: ten młodzieniec ma talent. Pomijam już to, że pojęcie „talent" jest niesłychanie rozciągłe, a tem samem nic lub niewiele mówiące. Pomijam już znane ogólnie fakty tysiącznych pomyłek w tym kierunku, zachodzące u najznamienitszych krytyków świata. Czyż nie lepiej orzeczenie o *talencie* pozostawić do czasu, gdy będziemy mieli przed sobą obszerny dorobek literacki danego autora? Wszak najważntejsze jest nie pytanie, co twórcy dała natura, lecz czego dokonał twórca, jak spożytkował uzdolnienie, przyniesione z sobą na świat.

Zbadać i ustalić checy odrębne zjawiska artystycznego. wyznaczyć mu miejsce w szeregu zjawisk pokrewnych oto zadanie recenzenta.

II.

P. Adolf Hertz jest autorem dwuch obrazków scenicznych: „A teraz co?" i „Związek dusz" (grany w teatrze Rozmaitosci w 1907 r.)

Cechą charakterystyczną tych obrazków jest dążenie do uzmysłowienia scenicznego codziennych zagadnień życiowych. Młody małżonek kochany i kochający, zostaje zdemaskowany wobec żony jako bezwstydny, brutalny rozpustnik z czasów kawalerskich. Inny mąż przekonywa się, że kochana kobieta jest płytkiem stworzeniem bez serca i bez rozumu.

W obydwu drobiazgach założenie idealistyczne godzi się niebardzo z fotograficzną metodą opracowywania szczegółów. W obydwu katastrofę powoduje wypadek. Charakterystyka osób jest z natury rzeczy pobieżna, ale dosyć wyraźna.

Skłonność do stosowania techniki realistycznej nie opuściła też autora przy pisaniu pierwszej sztuki większej. Ale posiadł widocznie świadomość tej właściwości swoich uzdolnień, gdyż postanowił wykorzystać ją dla celów satyrycznych.

Odmalował więc w sposób niezmiernie ścisły środowisko filistrów: rodziców i kuzyna młodego uczonego Bolesława. Starzy rodzice uwielbiają wprost swoje dziecko, ale nie rozumieją go zgoła. I czysta, pięk-

na dusza Bolesława żyje jak na pustyni, otoczona staraniem i miłością tych najbliższych i najdalszych mu ludzi. A ci poświęcając swe poglądy uczciwych mieszczan dla zdrowia syna, nie zdając sobie ani na chwilę sprawy z tego, że łamią na zawsze nieskalaną dotąd duszę.

Przeciwstawienie szczerej dobrej woli rodziców niedającym się obejść prawom silnej, dostojnej duszy jest nadzwyczaj udatnem postawieniem konfliktu. Autor rozumował logicznie, sądząc. że im silniejsze będzie to przeciwstawienie, tem plastyczniej wypadnie konflikt. Przeszedł jednakże pewną niezbędną miarę artystyczną: I dlatego różnica w nastroju pierwszej i drugiej części sztuki jest nazbyt jaskrawa. Akt trzeci mający stanowić przejście od lekkiej bardzo komedji do dramatu wypadł blado i nie spełnia swego zadania.

Romansowanie Kazia z kochanką Bolesława jest tem jednem słowem „zbyt wiele", którego nie należało powiedzieć. Było ono potrzebne, aby módz w czwartym akcie przedstawić dowód zdrady Zofji. Ale czyż ten jaskrawy dowód był niezbędny? Czyż dla właściwej duszy Bolesława nie wystarczyłoby jedno słowo z ust Zofji? Usunięcie tej kobiety z akcji czwartego aktu jest niezręcznością kompozycji, podobnie jak poniżenie jej li tylko do roli narzędzia w ręku tych, którzy płacą. Stosunek Zofji do Bolesława wogóle nie został dostatecznie wyzyskany. Obszerniejsze rozwinięcie tego motywu oszczędziłoby autorowi konieczności sztucznego zapełnienia pewnych luk w akcji.

Postęp od dawnych obrazków scenicznych do „Źródła cnót" jest ogromny. Jeżeli autor będzie nadal posuwał się naprzód w równem tempie, możemy się wiele po nim spodziewać.

III.

Wykonanie sztuki miało tę jedną wadę, że wspomniane powyżej nierówności kompozycji występowały aż nazbyt wyraźnie. P. Pichor zamiast łagodzić potęgowała wrażenie bierności Zofji jako człowieka. Pp. Bogusławska i Bednarczyk cieniowali nad wyraz starannie szczegóły i szczególiki realistyczne.

P. Wostrowski dał rzetelnie opracowany typ lekkoducha, miał nadewszystko wyborną mimikę. Pp. Brydziński, Wojdałowicz, Micińska i Hertzowa grali dobrze.

J. M. Muszkowski.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

S. Rudniański. Pogadanki filozoficzne. Nakładem „Wiedzy" wileńskiej.

Dr. Wł. Hojnacki. Hygjena Kobiety (wyd. III) księgarnia M. Arcta w Warszawie.

M. Heilpern. Balony i aeroplany, księgarnia M. Arcta w Warszawie.

S. Biswack Siła, zdrowie i piękność ciała, księgarnia M. Arcta w Warszawie.

Kochendorf. Gimnastyka płuc bez przyrządów, księgarnia M. Arcta w Warszawie.

M. Heilpern. Co to są za komety, księgarnia M. Arcta w Warszawie.

Henr. Aur. Lap. Co nam wróżą komety. Skł. główny w księg. Rzymskiego na Pradze.

M. Gawalewicz. Gąbka, księgarnia M. Arcta w Warszawie.

M. Kożuch. Dzieci niedoli z przedmową Janusza Korczaka. Nakładem „Wiedzy."

A. Pierzchnicki. Tajemnice. Warszawy. Nakładem „Taniej Bibljoteki."

KRONIKA.

— Rewizja senatorska. Z zarządzenia senatora Neudhardta dokonano rewizji w składzie intendentury we Włocławku i w Łomży.

— „Swob. Sł." donosi, że ujawniono łapownictwo w szkole telegraficznej przy egzaminach przejściowych; łapówki brał między innemi, nauczyciel języka niemieckiego.

— W związku z niedawno dokonaną przez senatora Neudhardta rewizją w szkole aplikantów telegraficznych przy warszawskim okręgu pocztowo-telegraficznym nastąpiła tranzlokacja kilku telegrafistów i telegrafistek tej szkoły; byli to przeważnie krewni kierownika szkoły.

— Wydziałom magistratu komisja senatorska obecnie wszystkie akty dokumenty ze spraw zrewidowanych.

— Komisja senatorska wykryła w Brześciu Litewskim u kupców miejscowych znaczną ilość rzeczy ze znakami intendentury.

— Przesilenie budowlane. Przesilenie w przemyśle budowlanym w Niemczech zaostrza się w sposób gwałtowny. Tysiące robotników budowlanych niemieckich emigruje do Austrji.

— Wszystkie związki pracodawców w Niemczech wyraziły gotowość poprzeć związek przedsiębiorców przemysłu budowlanego w walce z robotnikami, powołując się na to, że należy ustawicznie wzrastającym uroszczeniom organizacji robotniczych przeciwstawić punkt widzenia przedsiębiorcy.

— Komitet Biura Informacyjnego Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich.

W sprawie Wszechnic Galicyjskich podajemy do wiadomości młodzieży naszej, że w bieżącem półroczu zatwierdzono i wprowadzono w czyn reformę następującą. Na wydział filozoficzny Wszechnic Galicyjskich wstępować mogą abiturjenci szkół realnych, bez stopnia z języka greckiego wogóle. Studjujący jednak języki, historję lub filozofję są obowiązani na dwa lata przed ostatecznym egzaminem złożyć świadectwo z umiejętności tego przedmiotu.

Redaktor i wydawca **Czesław Kryński.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.